**NIESPODZIEWANE ZASTĘPSTWO**

Budzik zadzwonił, jak zwykle, o szóstej trzydzieści. Wstałem, spojrzałem przez okno na zachmurzone niebo i już wiedziałem, że zapowiada się kolejny długi i nudny dzień w szkole. Szkoła to całkiem fajne miejsce, pod warunkiem, że przerwy między lekcjami, możemy spędzać na boisku. Jednak w taki dzień, jak dziś, kiedy z pewnością będzie padać deszcz, woźne pilnują, żeby nikomu nie przyszło do głowy czmychnąć z budynku, więc całe przerwy snujemy się po holu. Kiedy dotarłem na pierwszą lekcję, nasza klasa była zamknięta, a koledzy tłoczyli się przy drzwiach, usiłując dopchać się do dziurki od klucza.

– Co robicie? – spytałem.

– A co się robi przez dziurkę od klucza? – odpowiedział pytaniem na pytanie Tadek.

– Podglądamy pana Gotowskiego ­– dodał szybko Michał.

– Czemu? – zdziwiłem się.

– Pan Gotowski ubrał się jak dziwak i tańczy po klasie. Chyba szykuje się jakaś heca.

– Pokażcie – poprosiłem.

Koledzy zrobili trochę miejsca, tak, żebym też mógł zerknąć do środka.

– To przecież strój Pana Kleksa! – krzyknąłem.

– Jakiego Kleksa? – spytał Olek.

– Jak to jakiego? Pana Kleksa z książki Brzechwy.

– Nie znam.

W tym momencie drzwi do klasy otworzyły się z impetem, mimo, że nikt nie użył ani klucza, ani klamki. A w drzwiach stała wicedyrektor, której przedtem w ogóle nie było w środku.

– Witajcie dzieci. – powiedziała – Pan Gotowski zachorował. Lekcje w zastępstwie zgodził się poprowadzić słynny profesor, którego powinniście bez trudu rozpoznać. Przedstawiam wam założyciela Akademii Pana Kleksa.

Przed nami, przy tablicy, stał człowiek w kolorowym fraku, którego każdy guzik miał inny kolor, jedna kieszeń była czerwona, druga pomarańczowa, a rękawy wyglądały, jakby każdy był od innej marynarki. Do tego miał kraciaste, wąskie spodnie, których nogawki kończyły się dużo przed kostkami, a całego stroju dopełniały wysokie żółte buty. Fryzura profesora też pozostawiała wiele do życzenia – zbyt długie, wielokolorowe, poszarpane kosmyki włosów odstawały we wszystkie strony świata. Wiele z nich łączyło się z równie dziwaczną brodą. Na nosie miał okrągłe okulary, a na policzkach wielkie, błyszczące piegi.

– Zostawiam was w dobrych rękach – powiedziała wicedyrektor i wyszła z klasy.

Pan Kleks wyjął z torby paletę farb i pędzel.

– Będziemy robić zupę? – wyrwało mi się.

– Nie tym razem – uśmiechnął się Kleks i zamoczył pędzel w żółtej farbie, po czym chlapnął nią przez uchylone okno. W tym momencie pochmurne niebo całe zalało się gorącymi promieniami słońca – dziś pouczymy się o przyrodzie, a dokładniej o motylach.

– Wyjąć podręczniki?

– Tam gdzie idziemy się nie przydadzą.

Z wielka wrzawą wylecieliśmy na szkolne podwórko. Pan Kleks biegł obok nas, śpiewając pod nosem piosenkę „Na Wyspach Bergamutach”. Okazało się, że większość klasy ją zna i za chwilę zewsząd dochodziły słowa „podobno jest kot w butach, widziano także osła, którego mrówka niosła”. Na prośbę profesora, usiedliśmy na trawie, a on wyjął z kieszeni niewielkie pudełko, które na naszych oczach urosło do rozmiaru gabloty ze szkolnymi pucharami. W gablocie znajdowało się ze sto maleńkich drzwi, a za każdymi siedział kolorowy motyl. Pan Kleks otworzył pierwsze z nich.

– Moi mili, poznajcie, to mój pupilek Ambrozjo – paź królowej, najpiękniejszy motyl na świecie.

– Oo – westchnęły dziewczyny, kiedy motyl zrobił trzy obroty wokół własnej osi, żeby się zaprezentować.

– Co jedzą motyle? – spytał Fabian.

– Ambrozjo najbardziej lubi nektar z kwiatów dzikiej marchwi i kopru włoskiego – mówiąc to, Pan Kleks, otworzył kolejne drzwi gabloty.

– To Antoni – niepylak apollo, który uwielbia nektar z górskich łąk. A ten to Albin – rusałka pawik, największy miłośnik nektaru z pokrzywy.

Za chwilę nad łąką latało mnóstwo motyli, a każdy był niepowtarzalny. Pan Kleks, opowiadając nam o ich życiu, zaletach i marzeniach, znów wyjął pędzel, którym, przy użyciu farb ze swej czarodziejskiej palety, wymalował na łące kolorowe kwiaty, po jednym dla każdego motyla. To był niecodzienny i magiczny widok. Na koniec profesor ułożył kilka różnokolorowych płatków kwiatów na dłoni, chuchnął, a naszym oczom ukazała się przepiękna tęcza.

Nagle, na dźwięk szkolnego dzwonka na przerwę, wszystkie motylki, jak na hasło, weszły z powrotem do gablotki. Tylko Ambrozjo, pupil profesora, usiadł mu na dłoni i poczekał, aż sam Kleks odprowadzi go na miejsce.

Niestety, my również musieliśmy wracać do szkoły. Żałowaliśmy, że ta lekcja tak szybko się skończyła. Na szczęście Pan Kleks zaprosił nas do swojej Akademii, obiecując, że ile razy sięgniemy po książkę, której jest bohaterem, tyle razy przeżyjemy z nim kolejną ciekawą lekcję.

Tego dnia, cała moja klasa, wracała do domu z książką ze szkolnej biblioteki w plecaku…

Maciej Keller